

EDWARD KOWALSKI

Warszawa, 20 marca 1947 r. Członek Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie, sędzia Halina Wereńko, działając na mocy dekretu z dnia 10 listopada 1945 r. o Głównej i Okręgowych Komisjach Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (DzU RP nr 51, poz. 293), przesłuchiwała niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania oraz o treści art. 107 i 115 kpk, świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Edward Kowalski
Imiona rodziców	Jerzy i Helena z d. Bleck
Data urodzenia	14 marca 1914 r.
Wykształcenie	lekarz i magister farmacji
Wyznanie	rzymskokatolickie
Miejsce zamieszkania	[...]

Zawód lekarz oddziału wewnętrznego Szpitala Wolskiego, kierownik apteki Szpitala Wolskiego i asystent w Zakładzie Chemii Fizjologicznej UW

Od początku Powstania Warszawskiego pracowałem jako lekarz w I Szpitalu Wojskowym Armii Krajowej w rejonie Starego Miasta.

Szpital nasz został zorganizowany na terenie Szpitala Jana Bożego przy ul. Bonifraterskiej. W pierwszych dniach powstania nie orientowałem się ściśle w układzie sił naszych i niemieckich. Widziałem, iż Niemcy atakowali od strony Żoliborza. Nasze pozycje początkowo miały w posiadaniu ul. Stawki, po kilku dniach sytuacja się zmieniła i nasze posterunki stały o kilka domów od Szpitala Jana Bożego.

Od razu w pierwszych dniach sierpnia Niemcy zbombardowali gmach tego szpitala. Podczas okropnych nalotów wielu rannych i psychicznie chorych zginęło. Szpital nasz został przeniesiony na ul. Długą 7, do gmachu dawnego Ministerstwa Sprawiedliwości. Cały budynek był zajęty przez AK. Mieściły się w nim komendy różnych batalionów. W pierwszych dniach sierpnia urzędował tam gen. Bór, do ok. 25 sierpnia Batalion „Wigry” mjr Trzaska [kpt. „Trzaski”] i inne.

Od pierwszego dnia Starówka była silnie bombardowana i ostrzeliwana ogniem artylerii. Kierunku ostrzału nie mogę ustalić. Każdy dom był na pierwszej linii frontu. Nie można było marzyć o osobnym pomieszczeniu dla szpitala. Zresztą było to właściwie bez znaczenia, w walce z powstańcami Niemcy nie przestrzegali żadnych zasad prowadzenia wojny. Szpital i ranni nie mieli specjalnych praw. Domy z wywieszonymi flagami Czerwonego Krzyża były bezlitośnie bombardowane. Szpital Jana Bożego był zbombardowany, mimo iż miał wywieszoną flagę Czerwonego Krzyża. Zginęła tam psychiatra, dr Darkowska, która pozostała z umysłowo chorymi, i inni.

Szpital nasz składał się z „sali operacyjnej” i oddziałów chirurgicznych. Wszelkie terminy ze szpitalnictwa są w tym wypadku zupełnie nieodpowiednie i brzmią jak kpiny. Sala operacyjna była zorganizowana bez światła, bez bieżącej wody, w piwnicy, nad którą waliły się piętro za piętro, tak że tynk i odłamki cegły sypały się z sufitu. Oddziały chirurgiczne mieściły się w piwnicach i na parterze. Ranni leżeli pokodem na materacach, na noszach, na ziemi. Od ciągłego ostrzału i bombardowań różne partie domu sypały się w gruzy. Nieraz ranni przeniesieni do szpitala byli ranieni po raz drugi już w samym szpitalu. Dyrektorem administracyjnym był doc. Falkowski (dyrektor Szpitala Jana Bożego), kierownikiem zespołu operacyjnego dr Stroński.

Zespół chirurgiczny składał się z 8–10 lekarzy i dwóch felczerów. Z nazwisk pamiętam: prof. Tomaszewski, dr Krauze, dr Kołaczkowski, dr Kalinowski, dr Jakimowicz, dr Tomaszewska, dr Mockało. Personelem pomocniczym kierowała szarytka, siostra Marta.

Praca w szpitalu wyglądała następująco. Do pierwszej piwnicy, która spełniała rolę izby przyjęć, znoszono rannych. Tu lekarz dyżurny kwalifikował poszczególne wypadki i decydował o przeniesieniu rannego na salę operacyjną. Już sprawa zakwalifikowania każdego przypadku była przejmująca w swoim tragizmie. Rannych znoszono bez przerwy, często kilkunastu naraz.

Pamiętam makabryczny dzień, 13 sierpnia, gdy nasi żołnierze zdobyli czołg niemiecki. Czołg ten specjalnie był naładowany miną, tak że w momencie, gdy szczęśliwi chłopcy jechali z nim ul. Kilińskiego, a chmara dzieciarni oblegała czołg, nastąpił straszny wybuch. Pochowaliśmy wtedy 500 głów, rozszarpanych ciał.

Rannych znoszono bez przerwy. Należało już w „izbie przyjęć” wybierać tych, których rany były tego rodzaju, że można było wierzyć w ocalenie po wykonanym zabiegu. Reszta rannych nie mogła być operowana. Chorych segregowano na dwie grupy. Do pierwszej należeli ci, których stan wymagał dużych zabiegów: otwarcie jamy brzusznej, szwy jelitowe, względnie resekcja jelit oraz trepanacja czaszki. Jeśli chodzi o zabiegi na klatce piersiowej, wykonywano jedynie zszycia otwartych ran. Zabiegów takich jak przy uszkodzeniach nerek, śledziony czy wątroby w tych warunkach nie można było wykonywać. Do drugiej grupy należeli ranni, którzy wymagali mniejszych zabiegów, a więc amputacje i agzartykulacje kończyn, pierwotne szwy, opatrunki gipsowe, zakładanie szyn. Każda z dwu „sal” (do dużych i mniejszych zabiegów) miała swój zespół operacyjny, który pracował dzień i noc bez wytchnienia.

O pracy tej trudno mieć jakiekolwiek wyobrażenie, warunki zaprzeczały najskromniejszym wymaganiom sanitarnym. „Sale operacyjne” mieściły się w dwóch malutkich piwnicach, które trzęsły się od wybuchów bomb i ostrzału artylerii. Tynk z sufitu spadał nieraz na pole operacyjne. Światło, jakim rozporządzaliśmy, były to świece, często jedna świeczka trzymana nad raną. Wodę z narażeniem życia (wszystko tu zresztą było narażeniem życia) czerpano z jakichś niezasypanych studni i przynoszono w otwartych kubłach. Siostra Marta czyniła nadludzkie wysiłki, aby wysterylizować narzędzia chirurgiczne i bieliznę operacyjną, z uporem i wytrwałością przygotowywała jeden komplet za drugim, wiedząc jak odpowiedzialna jest jej rola.

Piekło walki i beznadziejna męka znoszonych do piwnic rannych cichły na sali operacyjnej. Tu nie było miejsca na nic, poza wielkim wysiłkiem osiągniętym skupieniem. Nie myślano o nalocie i barykadach, tylko o tym, co dzieje się w obrębie pola operacyjnego, otwartego brzucha czy klatki piersiowej. Praca była tym trudniejsza, że cały zespół lekarski wiedział, że czekają następni ranni. Chory, którego jeszcze pod narkozą wynoszono z sali operacyjnej, nie miał już kontaktu z chirurgiem. Układano go na ziemi w jednej z sal, pod opieką innych lekarzy i sanitariuszek. Lekarze z sal operacyjnych byli przeznaczeni do pracy przy stole operacyjnym.

Lekarze byli półprzytomni ze zmęczenia. Z jedzeniem było ciężko, na sen nie było czasu. Siły fizyczne zespołu wyczerpywały się szybko. Trudno mi teraz wprost zrozumieć, skąd mieliśmy siły, by trzymać narzędzia. I tak na przykład pamiętam, jak prof. Tomaszewski w końcu września, operując ciężki przypadek (laparotomia), miał przeszło 39 stopni gorączki.

Straszne klęski tej walki rozgrywały się nad piwnicami. O samej akcji wiedzieliśmy tyle, że ten ranny jest z pałacu Mostowskich, a ci z [Wytwórni] Papierów Wartościowych. Ataki odparte, barykady zdobyte i barykady stracone – wszystko to docierało do szpitala za pośrednictwem liczby rannych, poszarpanych chłopców, dziewcząt, kobiet i dzieci, liczby która jest jednakowo krwawa w zwycięstwach i klęskach.

Naturalnie, były prowadzone książki operacyjne. Spaliły się przed przybyciem Niemców. Pamiętam, że liczba operacji na obu salach wyniosła ok. tysiąca przez ten miesiąc (do 1 września).

Szefem sanitarnym Starówki był płk Tarło, obecnie zatrudniony w Ministerstwie Obrony Narodowej w służbie zdrowia (albo w szpitalu okręgowym).

Jest 1 września. Oddziały AK przedostały się makabrycznym pochodem przez kanały na śródmieście, nieduża grupa przedarła się górą (z kilkudziesięciu osób prawie 90 proc. zginęło). Z naszego zespołu ja byłem jedynym lekarzem, który pozostał na miejscu. Miałem ze sobą swoje siostry i felczerów. Został też nasz ksiądz J. Roztworowski. Dziwna cisza gorzej szarpała nerwami niż huk walki, do którego byliśmy przyzwyczajeni.

W sobotę rano Niemcy wkroczyli na teren szpitala. Było wtedy na Długiej przeszło 500 rannych i ok. 50 osób personelu. Całemu personelowi kazano wyjść na podwórze. Koło mnie stał ks. Roztworowski. Niemcy kazali nam klęczeć. W tej pozycji zaczęło się przesłuchanie. „Czy to szpital bandycki?” – wszystkie pytania kręciły się koło tego. Nie było żadnej możliwości ukrycia faktów, ranni leżeli w niemieckich „tygrysach”, w bluzach, które AK zdobyła dla swoich żołnierzy w ataku na magazyny na Stawkach. Broniliśmy się w najprostszy sposób: jako lekarzy i wykwalifikowanego personelu szpitalnego jedynym naszym obowiązkiem było przyjść z pomocą każdemu rannemu, niezależnie kim by ten ranny był lub co robił. Niemcy, wysłuchawszy naszej obrony (wszystko na klęczkach), kazali nam zostać i kontynuować pracę.

Byliśmy zadowoleni, chodziło nam przecież tylko o to, by być z chorymi i robić swoje. Ranni napływali niekończącą się koleją. Pracowałem bez chwili przerwy do 12.00. Wtedy zjawił się

znów Niemiec i kazał mi niezwłocznie wynosić się na podwórze. Pokazałem mu rannych czekających na zabiegi, nic nie pomogło. Złapaliśmy trochę narzędzi i wyszliśmy z naszych „sal operacyjnych”. Na podwórzu była zebrana większa część personelu sanitarnego i ok. 50 lżej rannych, którzy mogli się wywlec ze szpitala. Razem ok. stu osób.

Czekając na rannych, którzy zbierali się koło mnie, słyszałem serie i pojedyncze strzały. Nie zdawałem sobie sprawy, co one oznaczają. Nawet najstraszniejsze doświadczenia lat okupacji nie mogły mnie przekonać, że istnieją ludzie, którzy od łóżka do łóżka idąc, rozstrzeliwali ciężko rannych.

Sformowano nas w pochód. Szliśmy dużą grupą, przeczuwając już los tych rannych, którzy zostali na Długiej. My, zdrowi, nieśliśmy i podtrzymywali rannych, wierząc, że może w ten sposób zdobędziemy dla nich szansę ratunku. Niosłem na rękach ranną dziewczynę i patrzyłem na nasz makabryczny pochód. Widziałem ludzi wyczerpanych do ostatka, z obandażowanymi głowami i kończynami, wlokących za sobą ciało w skurczach bólu z wyrazem półbłędym od strachu. Zagipsowane kończyny i kończyny na szynach ciągnęli w ostatnim wysiłku. Będąc lekarzem, nie rozumiałem, jak ci poranieni ludzie są w stanie poruszać się. Niemcy bili i kopali, chcąc przyspieszyć tempo marszu.

Szliśmy ul. Podwale w kierunku pl. Zamkowego. Przy ulicy Wąski Dunaj zatrzymano nas. SS-man znów miał do nas mowę, która polegała na strasliwym wymyślaniu nam od świni, bandytów itp. Ohydna mowa skończyła się wybraniem kilkudziesięciu ciężko rannych. Wydarto nam po prostu tych wszystkich rannych, którzy nie mogli iść o własnych siłach dość szybko. Rannych tych ten sam SS-man wprowadził w ul. Wąski Dunaj. Usłyszeliśmy serię strzałów. Teraz nikt z nas już nie miał wątpliwości, co te strzały oznaczały. Widziałem w 1945 r. prochy na ul. Wąski Dunaj.

Nie dowiedzieliśmy się, dokąd nas prowadzą. Jednego byliśmy pewni, idziemy na rozstrzał. Na pl. Zamkowym zatrzymano nas znowu. Znowu mowa, znów bandyci i inne okropne wyzwiska, słuchaliśmy obojętnie. Wtem zwrócił się do nas z zarzutem, że lekarze polscy znęcali się nad rannymi Niemcami, którzy wpadli w ręce powstańców. Wściekłość mnie szarpnęła. Pamiętałem niejednego Niemca na naszym stole operacyjnym. Traktowaliśmy ich jak każdego rannego. Wystąpiłem z szeregu i powiedziałem to dobitnie po niemiecku. SS-man zdziwiony, że śmiałem się odezwać, patrzył na mnie w osłupieniu, a po chwili doszedł do mnie i kopął mnie

z całych sił. Po chwili zjawił się inny oficer niemiecki i znów miał mowę. Tym razem była bardzo uprzejma, a celem jej było zwrócenie się do nas o pomoc dla naszych rannych. Wziąłem na ręce ciężko ranną i powędrowaliśmy na ul. Bednarską. Jeszcze raz zawróciłem na pl. Zamkowy po ciężko rannego, który czekał na mnie.

Kiedy przybyłem z powrotem na Bednarską, nie było już mojej grupy. Czekał na mnie ten sam SS-man. Zaczęło się dwugodzinne przesłuchanie. Niemiec był wybitnie inteligentny i doskonale orientował się w życiu podziemnym kraju. Pytania jego dotyczyły najróżniejszych dziedzin. Pytał więc naturalnie: „Ile wojska było na Starówce? Jakie dowództwo?”. Dokładnie sondował mnie na temat tła politycznego powstania, zresztą miał doskonałe wiadomości z wszystkich tych dziedzin. Sam o sobie mówił, że był przyjacielem Kutschery. Najbardziej intrygowało go zagadnienie, dokąd i jak opuściły oddziały wojska Stare Miasto. Niemcy myśleli, że wojsko przeszło na Pragę tunelem pod Wisłą. Tunel taki był projektowany w 1905 r. i o projekcie tym Niemcy wiedzieli.

Gdy po dwóch godzinach SS-man uwierzył, że nic nie wiem o tym, co się działo, gdyż całe moje pole widzenia ograniczało się do pola operacyjnego, dał mi spokój i zakończył badanie dyskusją światopoglądową i filozoficzną.

Jeśli chodzi o mnie, było mi obojętne, co ze mną zrobią, chciałem jedynie, aby mi pozwolili być lekarzem w obozie koncentracyjnym, do którego trafię. Oficer obiecał mi to. Zorganizowałem zaraz grupę sanitarną z ośmiu sanitariuszek AK i jednego felczera. Do grupy naszej dołączyło się jeszcze ok. dziesięciu osób cywilnych ze Starówki i całą tę grupę oficer SS-man zaprowadził do siedziby żandarmerii polowej na ul. Ossolińskich 4.

Przenocowaliśmy w zimnej szopie. Raniutko 2 września schodzili się ludzie z różnych ulic ewakuowanego Starego Miasta. Było nas ok. 500 osób, uformowano znów pochód i pognano, bijąc i poszturchując, przez ul. Trębacką, pl. Żelaznej Bramy, Chłodną, na ul. Wolską do kościoła św. Wojciecha.

Kościół św. Wojciecha był obozem przejściowym. W plebanii mieścił się częściowo sztab gestapo z al. Szucha i *Siecherheitsdienst der Kampfgruppe Reinefarth*. Część sztabu warszawskiego gestapo z Geiblem przebywała poza Warszawą, zdaje się w Sochaczewie. Komendantem był *Hauptsturmführer* Spielker, zastępcą *Hauptsturmführera* Vogt. Spielker podlegał Geiblowi, SD z *Kampfgruppe Reinefarth* podlegało również Spielkerowi, który

był główną osobą na odcinku warszawskim. Za plebanią, jak później się dowiedziałem, było więzienie.

Specjalistą od wyszukiwania Żydów z transportów był podoficer SS Muller, uprzednio zatrudniony w Lublinie. Był to wysoki brunet, szczupły, o czarnych oczach, wyglądający na byłego policjanta.

Kościół to była możliwość wolności, poza obrębem kościoła nic dobrego nie mogło nas spotkać. Jako grupę sanitarną wpuszczono naszą dziesiątkę, mnie i osiem osób z grupy sanitarnej, do kościoła.

Normalnie proces odbywał się następująco: przed kościół pędzono wszystkich i tak szli tutaj młodzi i starzy, chorzy i ranni, dzieci z poszczególnych dzielnic i poszczególnych bloków, tak jak padały ulica po ulicy. A więc szli ludzie małymi grupkami z Woli, od września ze Starówki i ulic przylegających do Starówki, z Dobrej, Ludnej, Lipowej itp. Część śródmieścia, która graniczyła z Krakowskim Przedmieściem, ul. Czackiego, Świętokrzyską, ul. Górskiego oraz do Chmielnej. W ostatnich dniach września szły ulice z Żoliborza, w dwa dni po Żoliborzu grupki z Mokotowa. Większość z Mokotowa kierowano bezpośrednio na Dworzec Zachodni. W kilka dni później poddało się śródmieście i ludność była kierowana przez kościół.

Przed kościołem stali już specjaliści np. Muller (zwłaszcza w pierwszym okresie), którzy wybierali sobie młodych ludzi, którzy wyglądem przypominali im powstańców. To samo robili z ludźmi, których podejrzewali o pochodzenie żydowskie. Kierował wybieraniem Polak w mundurze SD, którego nazwiska nie pamiętam. Był to blondyn, średniego wzrostu, z grubym karkiem. Żydów wyprowadzano i więcej ich nie widziałem.

Gdy pochód wszedł na teren kościoła, oddzielano mężczyzn od kobiet, dzieci i starców. Mężczyźni zostawali na zewnątrz, a reszta szła do środka kościoła. Los mężczyzn był różny. Zasadniczo podejrzanych o udział w AK brano do więzienia, przesłuchiowano i następnie wysyłano do obozów. Część zdrowych i silnych mężczyzn zostawiano do robót w Warszawie, resztę organizowano w transport i do Pruszkowa. Kobiety, dzieci i starzy mogli odpocząć chwilę, następnie organizowano dwa razy dziennie transporty na Dworzec Zachodni (pieszo), a stamtąd pociągami do Pruszkowa.

Gdy weszliśmy, zobaczyliśmy następujący widok: kościół brudny i zanieczyszczony, tłok i zaduch straszliwy, ranni razem z dziećmi i starcami, ludzie wyczerpani fizycznie i psychicznie do ostatka.

Ogólna panika i przerażenie, co z nami będzie. Wśród tego bezradnego i wynędzniałego tłumu uwijał się SS-man i krzyczał przeraźliwie, próbując przekrzyczeć lament, płacz, jęki i wołania dzieci, bił szpicrutą, gdzie popadnie. Wzięliśmy się natychmiast do roboty. Oczyszcziliśmy przy pomocy ludzi prezbiterium koło głównego ołtarza i tam zorganizowaliśmy prowizoryczne ambulatorium. Ludzie wypędzani z własnych domów brali, co popadło, najdziwaczniejsze rzeczy, potrzebne i niepotrzebne. Po przyjściu do kościoła tak byli zmęczeni noszeniem, że zostawiali połowę, biorąc w dalszą drogę rzeczy z większym sensem. Znalazły się zaraz kołdry i koce, poukładaliśmy to wszystko dookoła ołtarza i przenieśliśmy rannych. Zebrałem od ludzi trochę lekarstw, trochę środków opatrunkowych i wziąłem się do opatrunków.

Nastąpił dzień po dniu, noc po nocy nowego koszmaru. Ewakuowano olbrzymie miasto, wypędzono ludzi zmordowanych miesiącem walki i nalotów, przed naszymi oczami przeciągał się ciąg tragedii ludzkich. Widziałem sceny jak z Biblii.

Kolejność pracy wynikała z sytuacji: nadchodził transport – starałem się za wszelką cenę wciągnąć mężczyzn do kościoła. Mówiłem, że ranny, że chory, wymyślałem różne preteksty albo bez pretekstu wciągałem ludzi przed ołtarz. Później, gdy Niemcy przyzwyczaili się do mnie i mojego uwijania się wszędzie, gdzie mnie potrzeba było i nie potrzeba, wyprosiłem pozwolenie kontaktu z moim macierzystym Szpitalem Wolskim przy ul. Płockiej 26. (Pracowałem w szpitalu jeszcze przed wybuchem powstania).

Od tego momentu miałem nie tylko środki opatrunkowe i lekarstwa, ale i możliwość przenoszenia oficjalnie oraz szmuglowania ciężko rannych. Było to bardzo ważne, gdyż szpital miał prawo ewakuować swoich chorych z pominięciem selekcji w Pruszkowie. W ten sposób wielu młodych powstańców uniknęło obozu. Następnie szedłem do kościoła i tam czekała codzienna robota. Opatrzeć rannych, rozdać potrzebne lekarstwa chorym, uspokoić ich po rozstaniu z mężczyznami i kazać im się mądrze przygotować i spakować do dalszej drogi.

Siostry przy pomocy wypędzonych zbudowały kuchnię z cegieł przed kościołem. Gotowaliśmy jakąś zupę, ludzie byli głodni, zziębnięci i spragnieni. Niemcy patrzyli na wszystko coraz bardziej przez palce, dogadzało im zresztą, że wprowadzamy jakiś ład w tym tłumie ludzkim, który wciąż napływał.

Żywność dostawałem różnymi sposobami: z kotła Szpitala Wolskiego, z więzienia za plebanią, od samych wypędzonych, od żołnierzy niemieckich, od robotników z chłodni

miejskiej itd. Po wodę i pomidory robiliśmy wyprawy. Miałem prawo poruszania się w najbliższym rejonie i wolno mi było wziąć paru ludzi, za których powrót byłem naturalnie odpowiedzialny.

Po opatrzeniu, nakarmieniu i wysłaniu jednej partii wracałem przed ołtarz do ciężiej chorych i rannych. Zdarzał się i poród. Tutaj czekałem na następny tłum przygnany do kościoła. Moje „panowanie” kończyło się w kościele; ludziom w więzieniu i na plebanii niewiele mogłem pomóc. Czasem wołali mnie do jakiegoś zabiegu, ale szedłem pod ostrą kontrolą.

Niemcy zachowywali się różnie. Czasem spełniali moje prośby, czasem tłukli mnie niemiłosierdzie. W niedzielę, koło 10 września, zjawiała się nagle komisja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z Genewy, która pragnęła zapoznać się z warunkami ewakuacji Warszawy. Rozpytywali mnie dokładnie o wszystko i poszli, żegnając zdawkowym: „Odwagi, doktorze”. Po wizycie komisji zostałem oficjalnie lekarzem obozu przejściowego w kościele św. Wojciecha, uznanym i honorowanym przez władze wojskowe i policyjne niemieckie. Od tej pory ci, którzy parę dni temu mnie stłukli, ułatwiali mi pracę.

W kościele św. Wojciecha byłem do końca ewakuacji, a po jej zakończeniu uzyskałem pozwolenie powrotu do mego macierzystego szpitala na ul. Płockiej 26, z którym opuściłem Warszawę w końcu października.

Na zakończenie chciałbym dodać parę uwag ogólnych o zachowaniu się Niemców, które widziałem osobiście.

Stosunek do AK – na początku cały wysiłek Niemców zmierzał do wyłapania żołnierzy AK z tłumu ludzi pędzonych do kościoła. Ponieważ żołnierze nasi wiedzieli, co ich czeka, starali się jak najbardziej wyglądać „na cywila”. Niemcy już na ul. Wolskiej stawiali specjalistów (m.in. jednego z policji kryminalnej, nazwiska nie znam) i po wyglądzie zewnętrznym (sposób trzymania się, długie buty, wyraz twarzy) wyłapywali podejrzanych. Los ich był przesądzony: rozstrzał albo obóz koncentracyjny. Tak było do ewakuacji bliskiego Czerniakowa.

Na ul. Wilanowskiej bodaj wzięto do niewoli po ciężkiej walce oddział AK (kilkudziesięciu ludzi). Był to pierwszy oddział AK, który przyszedł oficjalnie do kościoła. Było to około 20 września. Niemcy wzięli ich do więzienia i trzymali dwa dni, nie pozwalając nawet posłać im jedzenia. Po dwu dniach wezwał mnie Vogt i kazał mi przetłumaczyć, że muszą przyznać

się, w jakiej formacji wojskowej są, a on da im słowo honoru, że zostaną razem przewiezieni do normalnego obozu jenieckiego i traktowani jako jeńcy. Tak się też stało. Od tego momentu skończyło się samowolne znęcanie się nad powstańcami, a oddziały polskie szły w normalnym szyku batalionów na Dworzec Zachodni, skąd wysyłano ich do obozów.

Niemcy nie pozwalali żołnierzom AK na kontakt z ludnością cywilną. W kościele nie zatrzymywano ich więcej. Nie wolno było ani mnie, ani sanitariuszkom zbliżać się do nich. Tak przeszedł częściowo Czerniaków i Żoliborz.

Jednego dnia Niemcy przywieźli berlingowców z Czerniakowa. Stan żołnierzy polskich był przerażający. Chcieliśmy natychmiast wziąć się do opatrunków. Niemcy nie pozwolili nawet zbliżyć się do nich. Traktowali ich okropnie, męcząc i głodząc. Trzymali ich przez krótki czas w więzieniu, co się stało z nimi potem, nie wiem.

Na tym protokół zakończono i odczytano.